ZIEMIANIN.

Tygodnik rolniczo-przemysłowy.

№ 51. Poznań w sobotę dnia 22 grudnia 1866. № 51.

Korespondencje i przesełki franco pod adresem: Prof. Dr. Szafarkiewicz, Redaktor Ziemianina. Ul. Wrocławska Nr. 9.

Przedpłata kwartalna wynosi: Na pocztach pruskich 1 tal.; na pocztach Królestwa Polskiego 1 rs. 22 kop.; dla Cesarstwa Austrjackiego rocznie 7 złr., półrocznie 3 złr. 50 centów wartości austr.; każdy nr. osobno: $2^1/_2$ sgr.

TREŚĆ.

Ziemianin

Tygodnik przemysłowo-rolniczy

wychodzić będzie z początkiem roku 1867 jako

Organ Centralnego Towarzystwa Gospodarczego dla W. Księstwa Poznańskiego

i na rachunek tegoż Towarzystwa, a pod redakcją

PP. Włodzimirza Wolniewicza i Maxymiliana Jackowskiego,

oraz za pomocą i współpracownictwem znanych z pióra agronomów, przedewszystkiem członków samegoż Towarzystwa.

Jako organ Centralnego Towarzystwa Gospodarczego, a tem samem wszystkich połączonych Towarzystw jego filjalnych, i jako organ umiejętnego rolnictwa w ogóle ma Ziemianin z jednej strony obznajmiać ziemian z rozwojem i postępem nauk i doświadczeń agronomicznych, z drugiej strony reprezentować rozwój praktycznego gospodarstwa w połączonych Towarzystwach rolniczych, i centralizować rolnicze interesa tychże Towarzystw. Pod względem formy będzie miał sobie za jedno z głównych zadań, aby był przystępnym dla większości członków tychże Towarzystw, jak niemniej pożytecznym dla ogółu ziemian.

Wychodzić będzie pod temi samemi warunkami, jak dotąd, a mianowicie w tych samych terminach tygodniowych, w tym samym formacie arkuszowym i po tej samej cenie.

Przedpłata więc kwartalna wynosić będzie: na pocztach Pruskich 1 tal.; na pocztach królestwa Polskiego 1 rs. 22 kop. a w cesarstwie Austrjackiem 1 złr. 75 cent. lub półroczna 3 złr. 50 cent.

Wszelkie przesełki i korespondencje adresować należy franco: do Redakcji Ziemianina na ręce Sekretarza Redakcji p. Mrozińskiego w Poznaniu, ul. Ogrodowa Nr. 16.

Donosząc o tej zmianie w redakcji i wydawnictwie Ziemianina, zaprasza do gorliwego poparcia tego przedsięwzięcia i do licznego prenumerowania

Zarząd Centralnego Towarzystwa Gospodarczego dla W. Księstwa Poznańskiego.

O seradelli.

Rzecz czytana w Kościanie na zgromadzeniu Towarzystwa Roln. dnia 7 grudnia 1866 r.

Około 50 lat upływa, kiedy po pierwszy korzec białej koniczyny posłał generał Chłapowski fornala do Erfurtu, a ówcześni gospodarze ze zdziwieniem i oburzeniem opowiadali o nowatorze, który trawy siał zamiast zboża. Od tego czasu coraz bardziej rozszerzała się uprawa roślin pastewnych, początkowo coraz więcej na ziemiach mocnych; — później, przy coraz wzmagających się dochodach z inwentarzy, zaczęto się oglądać za roślinami, któreby rodziły się na piasku i pozwalały posiedzicielom lekkiej ziemi mieć większą, niż dotąd, ilość inwentarza. Łubin znalazł już uznanie, mniej jeszcze rozpowszechniona jest seradella, o której Panom słów kilka obiecałem. Hodując ją od lat czterech, nie wiele mógłem jeszcze zebrać doświadczenia, mam jednak przekonanie, że tesame nam daje korzyści, co łubin, a z dwóch względów zasługuje na pierwszeństwo, nie zanieczyszcza bowiem roli i łatwiej się sprząta. Prócz tego, kiedy łubin przeważnie tylko dla owiec daje bardzo dobrą paszę, seradellę jedzą z równą chęcią wszystkie zwierzęta.

Seradella (Ornithopus sativus) pochodzi z Hiszpanji, gdzie na pagórkach suchych dziko rośnie; u nas dopiero niedawno zaczęto z nią próby. Jest rośliną jednoroczną, rodzi się na każdej ziemi, choćby i najlichszej, byleby w jakiej takiej była kulturze. Można ją siać na pastwisko, na siano albo na nasienie.

Na pastwisko sieje się rychło na wiosnę w oziminę albo w jarzynę tak, jak koniczyna. Wschodzi i rośnie powoli,

dopiero po sprzęcie zboża za pierwszym deszczem rozwija się prędko i daje na cały wrzesień aż do mrozów dobre pastwisko dla owiec i dla bydła. Na siano siać ją lepiej samą po ziemniakach albo po oziminie. Rola i po ziemniakach i ozimie powinna być czysta. Orze się na 8 cali, w jesieni, ile możności przed siewem, włóczy się drapaczem (Krümer) lub bronuje i siew lekkiemi bronami przykrywa.

Siana w inne zboże nigdy mi tak nie wyrosła, abym ją mógł kosić. Najważniejsze warunki są: głęboka uprawa, czystość ziemi i siew gęsty. Ziarno seradelli, w grubą i twardą zamknięte łupinkę, więcej do kiełkowania potrzebuje wilgoci, dużo przeto nasienia w roli marnieje; na mórg 10 do 15 funt., wedle jakości ziemi, wystarcza. Niektórzy gospodarze radzą siew przywalcować. Próbowałem tego, ale jeżeli wtenczas wiatr suchy powstanie, zwiewa ziemię i dużo ziarna odkrywa. Kiedy więc walcowanie zdaje mi się potrzebnem, jeśli ziemia krótko przed siewem dopiero zoraną została, walcuję siew a potem raz bronami od koniczyny przejeżdżam. Po dniach 12 seradella wschodzić zaczyna i dostaje listki. Przez maj do lipca rośnie nadzwyczaj wolno i nabawia nieraz niespokojności gospodarza. Często, kiedy maj suchy, bierze ochota przyorać ją, tymczasem ona w końcu lipca lub początku sierpnia nagle rość zaczyna, prędko ziemię zacienia i zawadzające jej chwasty przytłumia. Największym nieprzyjacielem jej jest chołdrych i sporek dziki. Kiedy chwasty nadto się wzmogą, można je kosą pościnać ponad seradellą, aby je osłabić i dać jej czas się rozrosnąć. Próbowałem puścić owce tak, jak w łubin, ażeby chwasty wyjadły: — z początku wybierały sporek, wkrótce jednak zabrały się i do seradelli i byłyby ją zupełnie zniszczyły.

W połowie sierpnia można zacząć siec seradellę na zieloną paszę dla krów i koni. Krowy bardzo chętnie ją jedzą i dobrze bardzo od niej doją. Zdaje się jednak, że im zęby cierpną, potrzebują bowiem, co zresztą przy każdej zielonej paszy dziać się powinno, przejeść między jednem a drugiem daniem trochę siana lub słomy. Źrebaki nadzwyczaj chciwie ją jedzą i bardzo prędko się na niej poprawiają. Obawa wzdęcia podobno prawie nie istnieje. — Na zielono można ją kosić aż do mrozów, rośnie bowiem wciąż, zachowując świeżość, i nie twardnieje, jak czerwona koniczyna, która po okwitnieniu staje się do pasienia niezdatną. Rychło dosyć zesieczona seradella daje jeszcze bardzo dobre pastwisko. Na ziemiach średnich, będących w mocnej kulturze, daje podobno nawet drugi pokos w późnej jesieni.

Na siano sprząta się seradellę tak, jak koniczynę czerwoną.

Nasienie jej zaczyna u dołu rośliny dojrzewać, kiedy wierzchołki kwitną jeszcze. Ma ona tę niedogodność, że ziarnka jej, — nie w jednej łupince zamknięte, lecz zrośnięte z sobą, — tworzą strączek, który nie tylko sam łatwo bardzo opada, ale jeszcze rozłamuje się za małem poruszeniem i wtedy ziarnka wypadają. Skoro tylko więc pierwsze strączki brunatnieją, trzeba seradellę skosić i tak, jak na siano, suszyć. Uważać tylko potrzeba, aby, przewracając kupki, jak najmniej je rzucać i roztrząsać. Wozić trzeba w namiotach: właściwie, komu o wielką ilość nasienia nie chodzi, nie potrzebuje osobno na siano a osobno na ziarno jej sprzątać. Gdy się robi siano, okrusza się dość dużo nasienia, a siano nic na tem nie traci, że się z koszeniem czeka, aż dolne strączki dojrzewać zaczynają. Przed dwoma laty, spasając seradellę na zielono, kazałem ją wozić w namiotach. Miejsce, gdzie ją na kupę składano, było wybrukowane i suche. Przy wożeniu w namioty i po zrzuceniu z woza na bruk dużo się nasienia wykruszyło, które, codzień zebrane, sypać kazałem cienko na bojewicę, tam dobrze wysuszyć i po dniach kilku wywiać. Zebrałem tym sposobem 20 szefli. Wianie i czyszczenie nasienia bardzo jest łatwe.

Z poprzedzającego widzimy, że ani uprawa, ani sprzęt seradelli żadnej nie sprawia trudności.

Wartość jej jako paszy równa się podług rozbiorów chemicznych wartości koniczyny czerwonej. Ilość zebranej paszy z morga przy dobrych warunkach tej nie ustępuje. Podług obrachunku E. Wolfa zawiera siano seradeli, zebrane już w czasie wykształcenia się nasienia:

14,6	funt. azotowych części	na 100 funt. siana.
29,2	„ bezazotowych części	
43,8	części pożywnych.	

Koniczyny zaś w kwiecie zebranej 100 funt. zawiera:

13,4	funt. azotowych części,
29,9	„ bezazotowych części.
43,36	części pożywnych.

Porównanie zatem wypadałoby na korzyść seradelli.

Chociaż miałem zawsze znaczny sprzęt seradeli, nie posiadam dokładnego obrachunku, ile z morga dała mi nasienia paszy zielonej lub siana. Ogólnie przyjmują, że w przecięciu można mieć 20—25 centnarów siana z morga. Nie wiele mniej zatem paszy z ziemi żytniej, jak koniczyna z dosyć dobrej ziemi dać nam może. Dodajmy te korzyści, że ze seradelli prócz tego mieć możemy 3—5 centnarów nasienia, które dotychczas w cenie 8—14 talarów się utrzymuje, co czyni z morga dochodu 40 talarów.

Podam tu także porównanie sprzętu seradelli i owsa, które w „Śląskiej Gazecie Rolniczej“ znalazłem. Na tejsamej, bardzo lekkiej ziemi, przy panującej suszy w roku 1863 sprzątnął autor z morga magdeburskiego:

Seradelli: 3 centn. nasienia, 13 centn. siana i plew.

Owsa: 6 szefli czyli 3 centn ziarna i 8 centn. słomy i plew.

Próbowano użyć także nasienia seradelli jako paszy dla koni. Wiem, że konie chętnie ją jedzą, — nie mam jednak wyobrażenia, jakby im pasza ta służyła.

Powiedziałem na początku, że seradellę siać najlepiej po ziemniakach lub życie mierzwionem. Po seradelli w obudwu razach znów ozimina następować może. Siać je można na jednę órkę. Ziemia, mocno seradellą zacieniona, wzbogaca się prócz tego odpadkami i bardzo licznemi, włóknistemi korzeniami. Próby okazały po seradelli sprzęt znaczniejszy, niżli po przyoranym na zielonej mierzwie łubinie.

Dla amatorów myśliwstwa i pszczelnictwa dodaję, że sarny i pszczoły nadzwyczaj lubią seradellę. Sarny schodzą się do niej z daleka i codziennie do niej powracają.

Nasienie seradelli brałem zawsze od pana Ludwika Kunkla w Poznaniu, którego handel przy tej sposobności jako bardzo dobry Panom polecam.

K. Chłapowski.

Jak dzisiaj jeszcze gospodarują na piaskach niederlandzkich?

(Podług p. Emila de Laveleye.)

Za żyznemi ziemiami napływowemi nadmorskich Niederlandów rozciągają się inne, nie tak nizkie i wcale nie tak uposażone od natury, jak tamte; odmienny też jest ich widok, skład ich geologiczny i sama uprawa. Nie widać tu już ani miast bogatych, nad kanałami pobudowanych, ani bujnych pastwisk z wyborowem na nich bydłem, ani owych widnokręgów zieloności i łąk bez końca, jakie sobie wielu cudzoziemców w całych Niederlandach wyobraża. Tutaj widzimy tylko piaski, kraj niezaludniony, nieurodzajny, za obrębem ruchu handlowego i podróżniczego leżący, przez czas długi dla braku dróg bez stosunków prawie z resztą Niederlandów zostający. Przechowały się za to w kraju tym obyczaje, zwyczaje i praktyki gospodarskie, uderzające oryginalnością, dla której opis ich tutaj podajemy.

Z 3,275,533 hektarów całej powierzchni królestwa niederlandzkiego połowa przeszło, — 1,700,000 hekt., — wypada na rzeczoną część piaszczystą, która zaczyna się od południa w Brabancie północnym i w Limburgu, gdzie się nie różni od belgijskiej Kampiny, następnie zniża się, tworząc wielką dolinę Renu i Mozy (Maas), którą rzeki te swym żyznym mułem wzbogacają, poczem podnosi się w prowincji Geldrji i tam stanowi ciekawą nader okolicę, Veluve zwaną; dalej zaś znowu,

tworząc wklęsłości, daje przejście rzece Isali (Yssel). Za tą rzeką piaszczysty ten pas ciągnie się przez całe prawie terytorjum prowincji Over-Yssel i Drentu, przekracza granicę niederlandzką i przez Hanower i Prusy ciągnie się wzdłuż Bałtyku daleko ku wschodowi i północy. W stronę zachodu sięga on aż do Amsterdamu, gdzie znać go po nagłych wzniesieniach Gooilandu; wprost na północ przechodzi za Zatokę Flewońską (Zujderzee) i stanowi nawet główną posadę wysp Texel i Wieringen. Formacja tego pokładu dawniejsza jest od obecnego okresu geologicznego, gdyż znajdują w nim kości hyen i mastodontów pierwotnego świata; utworzył się on na dnie Północnego Morza wtedy jeszcze, kiedy morze to uderzało o kredowe pokłady Mastrychtu i o łupkowe grzbiety węglowych łożysk rzek Roer i Mozy (Maas). Należy przeto wymieniony pokład piaszczysty do epoki diluvium i musiał się podnieść nad powierzchnią morza jakimś ruchem nieznacznym i ciągłym, nie widać bowiem żadnych załamów w poziomym kierunku jego warstw, które zresztą zaledwie odróżnić się dają.

Przeciętny poziom tych okolic nie jest wyższym nad metrów 15 nad powierzchnią morza; gdzieniegdzie napotykają się wzgórza, jak Lemelerberg około Ommen, wyniosłe na 84 metry, i Wiesselschebosch pod Apeldornem, którego wierzchołek do 104 metr. dochodzi. Mieszkańcy z pewną dumą na te miejscowości wskazują, tytułując je „górami", prawda, że z bardzo daleka je widać; tworzą one malowniczą przerwę wśród jednostajności najzupełniej płaskiej na wszystkie strony okolicy. Ziemia składa się z żółtawego piasku, niekiedy z podłożem albo gliniastem, albo też z torfu żelazistego. Znajduje się w nim dużo gładkich kamieni i kamyków z odciskami istót organicznych; używają ich tutaj do budowania dróg żwirowych; pochodzenie ich przez długi czas zajmowało holenderskich geologów, aż przekonano się wreszcie, iż kamienie te musiały być naniesione częścią przez wody Mozy, częścią przez wody Renu, odłamy zaś kwarcu i czerwonego granitu, tak liczne w Drencie, nie mogą znikąd inąd pochodzić, jak z Norwegji, z której napłynęły z masami lodu, od brzegów rzeczonego kraju oderwanemi. Do takiej natury ziemi musiało się zastosować gospodarstwo rolne tej piaszczystej strefy. Nigdzie indziej nie widziałem, żeby jałowy piasek leżał tak bezpośrednio obok mułu wyjątkowej żyzności; nigdzie też indziej nie ma tak wybitnej różnicy między uprawą gleb ścisłych a lekkich. Na różnicy tej poznał się i lud prosty; wyraża się ona u niego w przyjętych powszechnie nazwach zandboer, t. j. chłop czyli rolnik na piaskach, i kleiboer, chłop na glinie. Nie należy wszelako mniemać, iż wszystkie tutaj piaski w jednostajny sposób uprawiają, widać owszem rozmaite, przez ludy rolnicze praktykowane systemy, począwszy od najpierwotniejszej extenzywnej uprawy aż do najwyżej udoskonalonej i intenzywnej.

Po wyjściu ze stanu pasterskiego najprostszy sposób wyzyskiwania sił produkcyjnych ziemi przez uprawę polega na spaleniu darniny i posianiu ziarna w jej popiele, jako w pierwszym niby rodzaju nawozu. Tak według p. Gasparin gospodarowali Celtowie, i tak obecnie uprawiają Tatarzy na stepach Rosji i Syberji południowej owo zboże, „tatarką" od nich przezwane (fagopirum tartaricum). Po wszystkie czasy był ten środek w użyciu u ludności na wielkich przestrzeniach rozrzuconej; dawny francuzki wyraz „brandes", nieuprawne wrzosowiska, zdaje się wskazywać, iż Frankowie przynieśli ze sobą pomienioną praktykę do Gallji, gdyż „branden" w ich języku znaczyło palić. W takiej uprawie rozległość pól zastępuje niejako kapitał i pracę; lecz nie częściej, jak co lat kilkanaście, można wymagać od ziemi płodów, będących jej niemal wyłącznym produktem. Dla tego też gospodarowanie tatarskie daje się jeszcze pogodzić z koczownictwem i nie koniecznie potrzebuje osobistej i ustalonej własności gruntowej; szczególna więc rzecz spotkać się z niem w Niederlandach*). Na wschód od Groningi, Drentu i Over-Ysselu, na obszernych wklęsłościach piaszczy tego pokładu rozciągają się głębokie torfowiska, gąbczaste i wodą nasiąkłe, niedostępne, zdawałoby się, żadnej uprawie. Nie założył tam człowiek swych siedzib i ledwie że on bezpiecznie stąpać po nich może, konie zaś tylko z podwiązanemi pod kopyta deszczułkami; są to więc pustynie, na mil 15 do 20 rozległe, jak np. Boortanger hoogmoer, ciągnące się jeszcze daleko w sąsiedni kraj niemiecki i skazane widocznie przez naturę na wiekuistą jałowość. Otóż przejeżdżając tamtędy w miesiącu sierpniu, dziwi się niepomału podróżnik, ujrzawszy wśród tych nagich i smutnych obszarów, o mil kilka od wszelkiego zaludnienia, ogromne łany tatarki, której świeża zieloność mile odbija od posępnej dokoła szarzyzny, a śliczne kwiecie przyjemną swą miodową wonią atmosferę napełnia. W następujący zaś sposób odbywa się ta uprawa, znakomite przynosząca zbiory, jeżeli tylko nie zaszkodzą im przymrozki zimnych wśród lata poranków lub też nie przytłuką burze. Torfiskowy gospodarz, veenboer, wynajmuje czyli, jak się tu mówi, „kupuje" na lat dwanaście pewien obszar, płacąc w stosunku 200 do 300 fr. za hektar. Wiosną odprowadza wodę z wierzchniej warstwy torfowiska za pośrednictwem rowów, a potem, skopawszy ją, układa w kupy, które schną przez całe lato. W następnym roku, w maju lub czerwcu, wybiera dzień pogodny, kiedy wiatr ze wschodu lub północy zapowiada, że deszczu nie będzie, i wtedy zapala owe zeschłe kupy. Robota ta jest ciężka, gdyż chodzi o rozniecenie ognia po całym obszarze, a że zapalać trzeba z wiatrem, ażeby dym pracujących nie dusił, więc ci, wśród żaru postępując, muszą rozgarniać węgle i palące się kępiny za pomocą żelaznych kagańców na długich kijach. Gęste słupy dymu wznoszą się z takich opalenisk; wiatr północny pędzi je na środek Europy, zanosi na Paryż, na Szwajcarją nawet albo aż do Wiednia; atmosfera wtedy traci swą czystość, wszystkie przedmioty sinawą barwę przybierają; słońce, promieni pozbawione, wygląda nakształt kręgu rozpalonego żelaza i oczu już wcale nie razi; szczególny jakiś zapach rozchodzi się podczas tego wypalania, a ludzie w dalszych okolicach, nie domyślając się jego przyczyny, rozchodzący się i opadający dym ten suchą mgłą nazywają. Kiedy się już owe torfiaste kępiny zwęglą i spopielą, gospodarze powierzchnią wyrównywają bronowaniem i dopiero sieją tatarkę w stosunku około 80 litrów (kwart) na hektar. Otrzymują z niej czasami aż do 21 hektolitrów, ale przeciętny zbiór bywa 10 do 15, co, licząc po 14 fr. hektolitr, stanowi zawsze piękne żniwo, zważywszy, że się ma do czynienia z ziemią nic zgoła nie obiecującą.

Pięć lub sześć z rzędu zbiorów przynosi torfowisko w powyżej opisany sposób przygotowane; po trzeciem jednak żniwie już się produkcja zmniejsza, a od czwartego począwszy, zjawia się na łanach roślina z natury obca torfiastym ziemiom, a mianowicie sporek, który coraz bardziej tak się rozplenia, iż w roku szóstym koszą go razem z tatarką i zbiór cały już tylko dla bydła przeznaczają. Po zupełnem wyczerpaniu rola zostawia się odłogiem i wraca do swej naturalnej roślinności; wówczas znika niebawem i sporek, ustępując roślinie zwanej: marzymłodek leśny (senecio sylvaticus), po której zjawia się dziki szczaw, (rumex acetosella) wraz z kłosówką wełnistą, (holcus lanatus). Nareszcie zaczyna powracać i właściwa torfiskowa flora, jako to dwa gatunki wrzosu, sitowie, wełnica czyli wełnianka, (eriophorum) i mech torfowy (sphagnum), i potrzeba od 25 do 50 lat czasu, ażeby powierzchnia torfowiska mogła się pokryć znowu dostatecznie grubą dla nowego wyzyskiwania warstwą przegniłej roślinności. I po tak długim nawet odpoczynku nie zupełnie odzyskuje pierwotną zasobność, więcej bowiem nad cztery do pięciu zbiorów nie wyda.

Obok tej przerywanej i koczowniczej poniekąd uprawy napotykamy w Drencie inną, doskonalszą nieco, ale zawsze przypominającą najdawniejsze zwyczaje starożytnej Germańji. Drent jest najmniej ludną prowincją Niederlandów: na 266,276 hektarach (48 i pół mil. kw.) było tam w roku 1860 tylko 94,472 mieszkańców, a zatem 36 głów na 100 hektarach. W końcu wieku zeszłego, w r. 1706, całe zaludnienie wynosiło 39,672 dusz, a z tych około sześciu tysięcy tylko nie

*) Tatarzy i inne ludy azjatyckie palą trawy dla ich grubych, przyszły zbiór utrudniających łodyg, bez zamierzonego celu uprawy, która naturalnie jest tylko przypadkowym skutkiem; Hollendrzy wypalają trawy na wrzosowiskach z doświadczenia, w skutek wiedzy i w tym eelu, ażeby niemi ziemię na nowo użyznić. Red.

należało do klas ściśle rolniczych. Otoczony bagnami i torfowiskami, Drent był na kształt wyspy, na której piaskach i wrzosowiskach przechowały się nietykalnie zwyczaje przodków. Dziś jeszcze znajdujemy tu starodawną organizacją saxońskich „marków" czyli okolic, której ślady widać również i w okręgu Westerwolde, w Gronindze, tudzież w całym Over-Ysselu, a dalej w okolicy Zutphen, w Geldrji, a nawet aż w Gooilandzie pod Amsterdamem, — słowem na całym pasie piaszczystym potopowego okresu, zajętym już przez Saxonów około IV wieku naszej ery. „Mark", jako posiadłość na wpół podzielna i niepodzielna, nie mógł być dawniej sprzedawany ani darowany; obecnie jednak władze sądowe podciągnęły go już pod prawo pospolite, wyrzekając o przechodzeniu onego z rąk do rąk tak, jak i każdej innej nieruchomości. Kiedy się „mark" sprzedaje dla wyjścia ze wspólności, suma sprzedaży dzieli się między współposiadaczy w stosunku liczby tak zwanych wharen, t. j. cząstek ich dziedzicznych. Jeszcze w roku 1828 było w prowincji Drentu 116 marków, obejmujących 126,398 hekt. przestrzeni, a zatem blisko połowę jej powierzchni; w 1860 r. zostało się już tylko 43 niepodzielonych, z obszarem 32,995 hektarów; wszakże i w podzielonych markach wszystka prawie ziemia podlega po dawnemu wspólności pastwiska, a 40 na 100 całej powierzchni pozostały nieuprawne. Rzecz ciekawa zaprawdę to trwanie tak starożytnego sielskiego urządzenia, dawniejszego nierównie od gminy*) i od parafji, sięgającego owych czasów, kiedy Germanowie czcili Tora i Wodana czyli Odyna; przeżyło ono feudalizm i nie zupełnie ustępuje przed nowoczesną centralizacją, a nawet wbrew prawom Kodexu Cywilnego utrzymywać się potrafi.

Współposiadacze „marku" zgromadzali się niegdyś raz do roku, na św. Piotr, na wspólny sejmik. Wszyscy, i to zbrojnie, stawać musieli, gdyż na nieobecnych wymierzano kary. Na takowych sejmikach odbywały się wszelkie urządzenia, dotyczące użytków wspólnej posiadłości, uradzały się roboty wspólne, wymierzały się kary na grzywny za wykroczenia przeciwko ustanowionemu porządkowi, wyznaczyły się wreszcie osoby do wykonania i dozoru, t. j. tak zwany markenrigter albo markgraaf, starosta okolicy, z asesorami czyli rajcami, podobnie jak w pasie nadmorskim dykgraaf, (Deichgraf, starosta tam i zalewów). W tych zgromadzeniach ludności dobrowolnie stowarzyszonej, wspólnem posiadaniem ziemi związanej, można już rozpoznać wszystkie zarody systemu reprezentacyjnego i owe wkorzenione nałogi samorządu, przeniesione za morze przez tęższamą rasę saxońską, co się była niegdyś na piaskach niederlandzkich osiedliła, a z czego powstały później gminy i hrabstwa angielskie, a wreszcie i północno-amerykańskie „Stany." Zasadnicze urządzenia „marku" przetrwały do dni naszych: jest to mały administracyjny okręg, gminę w wielu względach zastępujący; należy do niego odprowadzanie wód, utrzymanie dróg, wyzyskiwanie ziem wspólnych i wybór urzędników wykonawczych. Tylko naturalnie nie są to już zbrojni wojownicy, sejmikujący po spełnieniu ofiary na cześć Wodana, lecz spokojni gospodarze rolni, po dobrym składkowym obiedzie o miejscowych sprawach radzący.

Na rozległych równinach Drentu i Over-Ysselu zwracają tu i owdzie uwagę wydatne łany, pięknem żytem pokryte. Są to części „marku" uprawie oddane, nazywające się esch, wyraz wspólnego, jak się zdaje, pochodzenia z łacińskim esca, niemieckim essen, oznacza tu ziemię, z której ludność pożywienie otrzymuje. Esch była to niegdyś wspólność, dzielona corocznie między wszystkich współposiadaczy „marku", jak to wyraźnie zaświadczają Tacyt i Cezar. W ciągu wieków średnich zaczęły te ziemie w stałe posiadanie osobiste przechodzić, ale dosyć im jeszcze daleko do prawdziwej niezależnej własności, gdyż pierwotne zwyczaje wspólnej uprawy do dziś dnia się przechowały. Dzieli się więc esch na mnóstwo cząstek, lecz żadna dróżka ani ścieżka nie odznacza podziałów na tym wielkim uprawnym obszarze; jedynemi znakami są granitowe głazy w punktach przecięcia linji; nie ma zatem nikt do swojej cząstki przystępu, dopóki zboże jest na pniu. Ztąd wynika, iż wszystkie cząstki muszą być jednocześnie i jednostajnie uprawione, zasiane, zbierane, bo gdyby który właściciel chciał np. mieć jarzynę wtedy, kiedy sąsiedzi oziminę uprawiają, nie mógłby oczywiście wykonać potrzebnych robót i zwózki bez znacznej dla tychże sąsiadów szkody.

Trzypolowe gospodarstwo jest tu jeszcze pospolite; w jednem polu zasiewa się żyto ozime, i pole to zowie się winteresch; w drugiem, zwanem sommeresch, żyto jare; na trzeciem zaś, dawniej zostawianem na ugór, brachesch, uprawia się obecnie tatarka. Ogół boerów czyli rolników (dosłownie chłopów), jeden esch wyzyskujących, miewa swoje zebrania pod staremi dębami lub na miejscach całkiem otwartych, gdzie czasem stoi jeszcze starożytny kamień ofiarny. Ten z gospodarzy, który utrzymuje wspólnego buhaja, ma też i róg do trąbienia na znak zwołania rady albo też czasu rozpoczęcia rozmaitych wspólnych robót w polu. Gdy się wszyscy zejdą, następuje narada i wyznaczenie dnia którejś z robót rzeczonych: órki, siania czy żniwa. Wybierają się przytem i czterej pełnomocnicy (volmagten), obowiązani dopilnować wykonania tego, co postanowiono; dwaj z nich reprezentują gospodarzy właściwych, posiadających konie, a drudzy dwaj są z wyboru prostych zagrodników czyli parobków. Za nadejściem dnia żniwa trąbienie w róg rozlega się od świtu, i każdy dąży do pracy; wieczorem zaś za danym z rogu sygnałem nie wolno już nikomu pracować pod karą grzywien. Po związaniu wszystkie snopy muszą być ustawione w kupki po osiem dla przeschnięcia i zabezpieczenia, ile można, od deszczu. Dzień zwózki z pola wyznacza się również za wspólną naradą i bywa obchodzony, jak się łatwo można domyślić, wesołą ucztą i obfitem zapijaniem.

Po żniwie całe pole obraca się na wygon; pasą się tam najprzód krowy, a potem owce; następnie porusza się nieco powierzchnia i skutkiem tego porasta natychmiast dzikim szczawiem, któremu Hollendrzy dali przezwanie owczego cukru, gdyż jest to w samej rzeczy wyśmienita dla owiec pasza, którą chciwie jedzą. Widząc po raz pierwszy łany Drentu, czerwieniące się od niezliczonego mnóstwa tych drobniuchnych kwiatków, trudno dojść, skąd się ta czerwoność wzięła, bo nikomu obcemu na myśl nie wpadnie, żeby mógł być uprawiany chwast, który się wszędzie za plagę uważa. Na noc ogradzają się owce na pastwisku; Hollendrzy twierdzą i podejmują się dowieść, że oni to wynaleźli ten środek, z którego angielskie gospodarstwo tak znakomicie skorzystać umiało. Każdy gospodarz obowiązany jest dostarczyć długość ogrodzenia stosunkową do ilości owiec przezeń posiadanych. Zresztą wspólne prawo pasania na ściernisku wszędzie tu jest w użyciu. Dla zabezpieczenia pól zbożowych przed żniwem od podeptania obwodzą się takowe rodzajem wału z kępin wrzosowych i nadto rowem. Utrzymanie tego obwarowania jest także wspólnym obowiązkiem; roboty w tym celu tak, jak inne wszystkie, odbywają się w porze na sielskim sejmiku ustanowionej, a na spóźnienie dłuższe, niż pół godziny po sygnale, wyznaczona jest kara czterech soldów.

W pewnej odległości od ziem ornych leży wioska. Domki, porządnie zbudowane i utrzymywane wzorowo, otaczają dokoła obszerny plac (rink), a białe ich ściany ocienione są koronami starych dębów, których szczyty wspaniałe nasuwają wyobraźni daleką przyszłość i rozległe puszcze, wśród których lubili się osiedlać pierwotni Teutonowie. Za to staroświecka siedziba gospodarza, współposiadacza „marku", nie wygląda wcale tak powabnie, jak owe zagrody dokoła placu; jest to zupełnie toż samo odwieczne germańskie domostwo, jak je nam rzymscy historycy opisali: budynek obszerny, słomą kryty, bez żadnych wewnątrz podziałów, rodzaj stodoły, gdzie się wszystko a wszystko mieści: zbiory z pól, narzędzia rolnicze i sprzęty, zwierzęta domowe i rodzina gospodarza. Konie stoją po jednej stronie, krowy po drugiej, po środku przechadzają się wieprze, kury i dzieci; w głębi są drewniane schowania w rodzaju szaf, w których się łóżka zamykają. Nie ma zresztą ani komina, ani żadnego otworu w górze, a na samym środku pali się wciąż torf, którego dym przeciska się powoli przez szpary dachowe, wędząc po drodze snopy żyta i gryki, ułożone na

*) Kilka a czasem i kilkanaście „marków" wchodzi do składu jednej gminy dzisiajszej.

poprzecznicach aż pod szczyt. Zawzięci stronnicy dawnych zwyczajów, a zatem przeciwnicy kominów utrzymują, że takie odymianie żyta nadzwyczaj dla ziarna jest korzystne, co może i być w istocie, gdyż ziarno tutajsze jest w handlu poszukiwane. Pomimo wszakże tej ostatniej korzyści mieszkania sielskie, powyżej opisane, na wzór pierwotnych z epoki saxońskiej zaczynają znikać powoli wraz ze starem pokoleniem i staremi zwyczajami. Z zaprowadzeniem łatwiejszej drogami bitemi komunikacji nie ma już trudności w dostawie dobrych materjałów budowlowych; można i wśród wrzosowisk mieć teraz cegłę, wapno, norwegski budulec, i nowe też folwarki, miejsce dawnych obszernych chat przodków zastępujące, stawiają się i urządzają ze starannością i schludnością na hollenderski sposób.

Uprawa, w tych stronach nie na wysokim jeszcze stopniu, z konieczności jest extenzywna. Dla otrzymania zbiorów z pól ornych bez przerwy trzeba je zasilać corocznie nowemi zasobami roślinności; zasobów zaś tych dostarczają wielkie obszary wrzosowisk. Na nich musi sobie szukać bydło w znacznej części pożywienia, z nich naturalnie skopują się kępiny do użyznienia łanów służące; idą one najprzód na podściół, a potem przerabiają się z gnojem na kompost. Owcze szczególniej odchody wielce się okazują skutecznemi w podtrzymywaniu urodzajności pól i zapewnienia dobrych zbiorów. Pomimo tak wyczerpującej, jak widzieliśmy, koleji uprawy żyto daje do 22 hektolitrów z hektaru, a tatarka około 20. Prowincja Drent posiada ogółem 62,000 sztuk bydła rogatego i 113,800 owiec, a więc pierwszego po 65, drugich po 150 głów na 100 hektarów ziemi uprawnej. Byłoby więc czem gnoić jak należy pola orne, gdyby nie to, że tutajsze zwierzęta są drobne, mały dochód przynoszące, i że część roku na nieużytkach przebywać muszą. Wychowuje się tu znaczna ilość źrebiąt, sprzedawana w bardzo młodym wieku do Fryzji i Groningi, gdzie na tamecznych dobrych łąkach dzielnie się rozwijają, do czegoby im liche pastwiska rodzinne nie starczyły. Widzimy tedy z powyższego zarysu, że cała uprawa polega na zużytkowaniu kępin wrzosowiskowych; nie dziw więc, że ilość tego materjału, jaka się rokrocznie, i to od kilkunastu może wieków, na ornych polach gromadzi, spowodowała znaczne bardzo, bo na kilka metrów wyniesienie tych ostatnich nad otaczające równiny. Bez tego pomocniczego środka niepodobna byłoby, zdaniem gospodarzy strefy piaszczystej, wyzyskiwać w jakibądź sposób tę ubogą ziemię; i tak jest w rzeczy samej, dopóki po dotychczasowemu gospodarować będą. Ale inaczej byćby mogło, gdyby się odważyli wprowadzić powoli płodozmian flandryjski w połączeniu z chowem stajennym; wszakże dzięki obojgu rolnik Waesu uprawia ziemie nie lepsze od tych, co w Drencie. Skoro głównym warunkiem uprawy jest obszar wrzosowiska, prosta więc rzecz, iż pierwszorzędnym też interesem współposiadaczy „marku" musi być zapobieganie wzrostowi ludności. Jakoż obowiązkiem było markgrafów czyli starostów markowych nie dozwalać przybyszom osiadania na pustych ziemiach i uprawiania takowych. Przyjmowano jedynie parobków zagrodników w miarę niezbędnej potrzeby rąk, zabraniając im wszelako puszczać zwierzęta, jakie mieli, na wrzosowisko; wolno im było tylko na wyżywienie tych zwierząt zbierać po trzy wozy wrzosu. Dla tego to Drent był przez tyle czasu pustynią. W roku jeszcze 1832 z całej przestrzeni 266,000 hektarów tylko 23,000 było uprawnych; odkąd wszakże zaczęło się dzielenie posiadłości w „markach", t. j. od lat około pięćdziesięciu, okazał się niebawem i szybki wzrost ludności. Między 1796 i 1850 przybyło jej ogółem 131 na 100, zatem daleko więcej, niż w dwójnasób, gdy tymczasem na całe Niederlandy wzrost ludności przecięciowy wynosił w tymże perjodzie tylko 22 na sto. Rozszerzenie uprawy, dawnym sposobem prowadzonej, musi być naturalnie bardzo powolne; ale rozpoczęte plantacje sosien szybszy niezawodnie postęp okażą, zwłaszcza gdy się wkrótce ukończy droga żelazna, mająca połączyć to ustronie z ogółem kraju, i stanie się drogą odbytu dla przyszłej produkcji drzewa.

Dotąd jednak prowincja Drentu mocno jeszcze przypomina tacytowską Germańją najprzód ogółem swego krajobrazu, — owemi obszernemi pustkowiami, które człowiek jakby niezupełnie jeszcze posiadł i opanował, gdzie ślady jego kroków własnych i przechodu jego trzód trwają tyleż niemal, co brózda na fali po płynącym statku, — i swemi zwyczajami staremi, jak wspólne prace rolne na sygnał rogu, — i odwiecznemi dębami przy wiejskich siedzibach, — i postacią oraz wewnętrznym tych siedzib rozkładem, — kurhanami wreszcie, pod któremi spoczywają popioły i oręże dawnych Franków i Saxonów. A nadto spotykają się tu wśród wrzosowisk pewne zadziwiające pomniki, na widok których musi się imaginacja w nierównie odleglejsze od tamtej epoki zapuszczać: są to ogromne bryły czerwonego granitu, na wysokość stawiane, na których spoczywają inne, bardziej płaskie i obszerniejsze, co wygląda razem jakby niezgrabny i koszlawy stół dla użytku jakichś olbrzymów. Nieme te, bo bez żadnych napisów głazy, sterczące wśród pustyni, nagie, nieosłonione chwastami nawet, któreby ożywiały nieco ponurą ich postać, wyglądają strasznie i przerażająco. Kiedym ostatni raz jeden z nich oglądał, było to blizko Gieten i w porze niepogodnej, zachodzące słońce rzucało blask czerwony na potężne granity, które się wydawały jak krwią oblane; nizkie i ciężkie chmury, pędzone wiatrem, przybierały podobieństwa ogromnych fantastycznych zwierząt ze starożytnych mytologji. Nic mi dokoła nie przywodziło na oczy obecnej rzeczywistości; nic mi nie przeszkadzało wyobrażać sobie jakieś czasy niezmiernie dalekie, plemiona ludzi nieznane, o których jednakże istnieniu takie oto niepożyte świadectwa przekonywają. Sąż to ołtarze, czy grobowce? I skąd wziąć się mogły w Niederlandach odłamy granitu, kiedy skał granitowych nie ma nigdzie na mil franc. trzysta dokoła? Odpowiedziała na to ostatnie pytanie geologja, wykazawszy pochodzenie głazów napływowych z Norwegji, zaniesionych aż tu wśród wielkich mas przedpotopowego lodu; lecz historja nie dociekła dotychczas, co to za rasa ludzi podejmowała i ustawiała tak wielkie bryły, poruszanie których zdaje się przechodzić środki mechaniczne barbarzyńskiego plemienia. Nazywają tutaj te pomniki Hunebedden, a więc łożami lub może grobowcami Hunnów*); i nic dziwnego, że podania ludowe przypisują ich wzniesienie tłumom Attyli, którego niszczące zagony tak żywo i strasznie na wstępie wieków średnich były wspominane. Niepodobna jednak na to się zgodzić, ażeby Hunnowie mieli tu czas i możność stawiania ołtarzy lub grobowców; należy takowe przypisywać raczej ludom pierwotnym, zamieszkującym niegdyś całą zachodnią Europę, których pomnikami muszą być również głazy Karnaku w Bretańji i Stonehenge w Anglji.

Wschodnia połowa Over-Ysselu ma niejakie z Drentem podobieństwo, a nazwa jej Twent wyraźnie z tamtą rymuje; starali się etymologowie współdźwięczność tę wytłomaczyć, ale nic trafnego dotąd nie wynaleźli. Znajdujemy tutaj i mark i esch; łatwość wszakże zewnętrznych komunikacji, oraz przemysł, jaki się w tym zakącie ustalił, w Almelo, a zwłaszcza w Enschede, nie dały się ostać dawnym zwyczajom i gromadzkiej pracy. Uprawa wszakże prawie takaższama: — nieprzerwana kolej zbożowych zasiewów, — nawet bez pół-ugoru, służącego, jak widzieliśmy w Drencie, do zasiewania tatarki. Tutaj uprawia się żyto wciąż przez lat dziesięć lub dwanaście na tejsamej roli, poczem następuje jednorazowe zasadzenie kartofli, po których zebraniu znowu tażsama jednostajna prowadzi się uprawa. Jest to jakby systematyczne przeciwieństwo najpierwszych maxym umiejętności rolniczej, wzbraniającej częstych z jednej i tejsamej ziemi jednego gatunku zbiorów, a pomimo tego ani się ilość tychże nie uszczupla, ani jakość ziarna bynajmniej nie pogarsza; sławne jest owszem żyto Twentu w całych Niederlandach. Zadziwia rzeczywiście ta roślina swoją jędrnością, wysokością i sztywnością słomy, oraz wielkością kłosa; aż miło patrzyć na to morze żyta, kołysanego nakształt fali podmuchem wietrzyku, gdy osobliwie przy wczesnem kwitnieniu ulatające pyłki rośliny ożywczą jakąś woń dokoła roznoszą. Tak osobliwe powodzenie najniedo-

*) Zdaje się, że daleko prawdopodobniej jest tu mowa o łożyskach a właściwiej jeszcze o grobowcach bajecznych **olbrzymów (bohaterów)**, zwanych **Hünengraeber**, które na północy Germańji aż do Groningi i Drentu spotykamy, a które dla podobieństwa wyrazu (Hünen) wziął autor za Hunnów (les Huns). Red.

rzeczniejszego systemu uprawy tłomaczy się tutaj, równie jak i w Drencie, gromadzeniem na orne ziemie coraz to świeżych mas skopanej z powierzchni wrzosowisk ziemi roślinnej. System więc jako taki złym być nie przestaje: wymaga dużo pracy i możliwym jest tylko pośród wielkiego obszaru nieużytków. Przykład wszakże to ma w sobie nauczającego, iż pokazuje, w jakim wysokim stopniu żyzności można role utrzymywać, wzmagając mierzwę folwarczną wszelkiemi roślinnemi materjami, dającemi się zebrać w pobliżu.

Nie może się słowem Twent lepszem od Drentu rolnictwem pochlubić. Daleko inaczej ma się rzecz w okręgu Salland (w starożytności Sala), piaszczystym również i na zachód do samego brzegu Isali rozciągającym się. Była to siedziba Franków Salijskich czyli Salickich, nim wyruszyli ku południowi na zdobycie Gallji; tu też ułożone było słynne prawo salickie, a mianowicie w Saleheim i Windoheim, jak jest w texcie powiedziane, które to miejscowości znajdujemy po dziś dzień w okręgu Salland pod zmienionemi nieco nazwami — Salk i Windesheim. Cała kraina dzieliła się na marki, i główne nawet miasta: Deventer, Zwolle, pośród dawnych marków powstały. Znać też było w ich municypalnych urządzeniach ślady starych gromadzkich zwyczajów, dopóki administracja francuzka nie sprowadziła tych urządzeń pod jednostajne dla całego Królestwa prawo. Wiele miasteczek, jak Genemuiden, Hattem, Deventer, Steenwyk, posiada i dziś po kawale wspólnego obszaru ziemi, t. j. wielkiego wygonu, na którym uprzywilejowani mieszkańcy mogą pasać pewną ilość krów na mocy dziedzicznie im służącego prawa. W Sallandzie i w hrabstwie Zutphen, gdzie ziemia i uprawa są takieżsame, zostały już marki podzielone i porozprzedawane; rzeczki tylko i strumienie, drogi i mosty wspólnemi pozostały i utrzymują się nie wielką opłatą, w zakresie dawnych wspólności pobieraną. Dotychczas gospodarują tu na roli w ogóle dosyć podobnie do sąsiadów z Drentu — dwa lata żyto, a w trzeciem tatarka; ale uprawia się już i rzepa pod tatarką i więcej daje się miejsca ziemniakom. A nadto rolnicy Sallandu mają jeden znakomity zasiłek gospodarczy, jakiego brak zgoła w tamtych dwóch okręgach, a mianowicie łąki nadrzeczne Isali, Zwartewateru i Vechtu, — oraz całego nizinnego pasu od strony Zatoki Flewońskiej (Zuiderzee). Kupują tu wszyscy siano i wynajmują prócz tego pewne obszary pastwisk, co daje im możność obywania się bez wrzosowiskowej darni, której też i brakować zaczyna w miarę dzielenia marków i brania pod uprawę nowych przestrzeni nieużytków.

Zwykła rozległość posiadłości w Sallandzie wynosi 10 do 12 hektarów; gospodarstwa 20 lub 25 hektarowe są rzadkie i uchodzą już za wielkie. Najtrafniejszy po tutajszemu rozmiar użytkowej przestrzeni, do jakiego dążą dobrzy gospodarze, jest ten, ażeby mieć jednę trzecią pod pługiem a dwie trzecie pastwisk i łąk kośnych. W takim stosunku jest też możność utrzymywania licznego bydła. Miewają tu na 12 hektarach siedem lub osiem krów dojnych, trzy albo cztery jałówki, tyleż cieląt, jednego konia i kilka wieprzów, co wypada daleko więcej, niż sztuka na hektar. Choć to wszystko po pastwisku chodzi, przez zimę jednak trzyma się w domu, a i latem nieraz na noc bywa zaganiane, jeżeli nie jest daleko. Gromadzi się więc dostateczny zapas mierzwy na wszystkie zasiewy, wyjąwszy tatarkę, a nawet i na utrzymanie żyzności samych pastwisk, które nie zawsze z zalewów korzystają. Nie robią tu jeszcze dołów do gnojówki, ale z gnojowiskiem umiejętnie i starannie się obchodzą: zlewają je od czasu do czasu odchodami płynnemi i dodają szlam z rowów, tudzież darń warstwami w ten sposób układanemi, aby powstrzymać parowanie gazów amoniakalnych i aby z drugiej strony woda deszczowa nie spłókiwała cząstek rozpuszczalnych mierzwy. Plony pięknie wyglądają, szczególniej żyto, dające od 18 do 20 hektolitrów z hektara. Ziemniaki stosunkowo gorsze, co, jak sądzę, ztąd musi pochodzić, że ich nie okopują, jak należy, która to ważna czynność, ułatwiając powietrzu przystęp do nich, osobliwie mnożenie się ich i rozrost pobudza.

Taki jest sposób uprawy w okręgu Salland najpospolitszy; w niektórych wszelako gospodarstwach widać już pewien postęp: zaczynają siać koniczynę i zbliżać się do płodozmianu.

Oryginalne są obory w tym kraiku, nazywane potstel; wątpię jednak, aby ta ich oryginalność mogła być do naśladowania poleconą. Z jednej strony budynku mają te obory wielkie wrota, wprost których wchodzi się na obszerne klepisko, służące na stodołę i skład narzędzi rolniczych; od strony zaś obu ścian przytykających do tamtej, na których opiera się trzcinowy dach, przywiązane są bydlęta głowami do środka, każde między dwoma słupkami. Dwoje drzwi po obu stronach owych wrót daje przystęp do bydła z tyłu, gdzie się odbywa dojenie i którędy też wygarnia się mierzwa; pasza zaś i woda zadaje się bydłu z przodu, od klepiska. Obejrzawszy się w takowem urządzeniu, można łatwo odgadnąć, że zboża, wystawione na wyziewy obory, muszą tu być podrzędną rzeczą w gospodarstwie, siano zaś, a zatem nabiał, produktem głównym. Jest to słowem starodawna obszerna chata saxońska, taka prawie, jak w Drencie, z tą różnicą, że mieszkanie rodziny gospodarza oddzielone jest tu przepierzeniem. Tak więc co do samego rolnictwa, jako też i sposobu sielskiego zabudowania znajdujemy w Sallandzie teżsame obyczaje odwiecznego „marku“, cokolwiek zmodyfikowane. Dokoła głównego budynku przenośne szopy o ruchomym dachu (hooibergen), nakształt używanych w południowej Hollandji, ochraniają siano, od którego całe powodzenie gospodarstwa zależy. Nie dorównywając, z daleka nawet, w dostatkach majętnym rolnikom gliniastych okolic, mają się przecież tutajsi niezgorzej, dzięki zwłaszcza nadzwyczajnej swej oszczędności, jakiej tamci wcale nie potrzebują. Wnętrze pomieszkań zaleca się już pewną wytwornością wieśniaczą; stoi tam wielka szafa ze starego drzewa dębowego, polerowana, oszklona, z porcelaną chińską i naczyniami cynowemi. W braku srebrnych. W wieku XVIII jeszcze czynsze płaciły się tu nie pieniędzmi, lecz naturaljami: połowa albo i dwie trzecie zbioru szły dla właściciela; stosunek ten zmieniał się wedle rozległości łąk i wrzosowisk, przez czynszownika posiadanych. Prócz tego obowiązany on był dostarczać pewną liczbę wykarmionych gęsi, gdyż dużo tego drobiu w całym pasie piaszczystym hodowano, i to od dawien dawna; już bohaterki Eddy doglądały same swoich gęsi, i bardzo być może, że zwyczaj angielski jedzenia gęsi na Boże Narodzenie jest odwieczną saxońską pamiątką. Dziś wszakże płacą się już czynsze gotówką: 50 do 90 fr. od hektara (tyleż prawie złotych od morgi). Cena ziemi 1600 do 2400 fr. hektar. Czynszownik obejmuje gospodarstwo na św. Marcin, t. j. pierwszego listopada; tego samego terminu trzymano się w Flandrji w wiekach średnich, a obecnie trzymają go się w Lombardji. Wchodzący i opuszczający dzielą się zbiorem po połowie; nie ma żadnych bonifikacji. Narzędzia rolnicze w ogóle dobre; wozy bardzo ozdobnie wyglądają: wasąg na czterech kołach wielkich, lecz lekkich, malowany jaskrawą czerwoną, zieloną lub niebieską farbą, z napisem z tyłu złoconemi literami, wyrażającym datę zbudowania wozu, a przytem jakieś zdanie z Biblji lub przysłowie. Jednym koniem zaprzężone (gdyż to wystarcza) wózki te szybko turkocą po doskonałych drogach ceglanych, a w wielkiej najechawszy liczbie w dzień targowy do miasteczka, świąteczny mu pozór nadają.

Zanim opuścimy strony piaszczyste po prawym brzegu Isali (Yssel), wypada nam jeszcze zwiedzić kilka wsi, założonych niegdyś przez fryzyjskich kolonistów, jak Kamperveen, Vriezeveen, Rouveen, Yhorst i Staphorst, wsi najzupełniejszą stanowiących sprzeczność z saxońskiemi „markami.“ Zamiast szukać położeń wynioślejszych i suchych, jak Saxonowie, którzy się wyłącznie na ziemiach dyluwialnych (diluvium) rozpościerali, woleli zawsze Fryzowie osiadać na nizinach i torfowiskach, które umieli wyzyskiwać, jak żadna inna rasa. Nie ma w ich osadach ani śladu wspólnych łanów i wspólnej uprawy, każdy owszem obszar gospodarski wydatnie od innych rowem oddzielony. Siedziby wiejskie, zamiast skupienia wokoło jednego placu dębami wysadzonego, zdala od ról uprawnych, mieszczą się rzędem, każda pośród należącej do niej ziemi. U Saxonów brakowało ogrodzeń i dróżek, tu jest ich aż do

zbytku. Tam życie sielskie dotychczas jeszcze nie wyszło z tradycji pierwotnego komunizmu, tu naodwrót jest ono we wszystkiem indywidualnością nacechowane.

Jadąc od Zwolle w stronę Fryzji i przebywszy Vecht i Demsvaart, napotyka się nieskończenie długi rząd domostw, rozpostarty na jakie dwie mile francuzkie: są to kolońje Rouveen i Staphorst. Domostwa te nie stykają się bynajmniej, każde stoi na wązkim pasie własnego, daleko z tyłu ciągnącego się pola, okopane rowami, pełnemi roślin wodnych, schowane w gęstym cieniu olszyn, wierzb i topoli. Poczerniałe od dawności drewniane ich ściany, wązkie okna o małych szybkach w ołów oprawnych, winorośl, zwieszająca na dach słomiany wdzięczne swe girlandy, cały słowem pozór tych sielskich mieszkań najdokładniej przypomina tło i otoczenie obrazów Van Ostada, malarza wesołych kumoszek i niezmordowanych suszykuflów; tymczasem ludność tutajsza w niczem zgoła nie jest podobną do rozochoconych jego figur. Są to ludzie obyczajów surowych, pobożni i punktualni kalwini, ściśli przestrzegacze starego obyczaju tak w rzeczach wiary, jak i w gospodarstwie, zresztą najpracowitsi w całych Niederlandach; prócz rolnictwa trudnią się różnemi drobnemi przemysłami i dostatniego używają bytu. Plotą oni koszyki i z bzowego drzewa swoich płotów wyrabiają gwóździki przez szewców używane; robią i pończochy na drutach. Nałóg bezustannego rąk zajęcia tak jest daleko tu posunięty, że starszyzna, zgromadzona na radę w interesach wsi, zasiada i rozprawia z pończochą w ręku. Codzień przed świtem już na nogach, wszyscy tu pracują, i zaprawdę wytężonej trzeba pracy, aby sobie poradzić z polem zwykle przeszło na milę franc. rozciągniętem. Ubiory są staroświeckie i dziwaczne, osobliwie kobiet, odrazu można je poznać na targach w Zwolle i Meppel. Nowości tutaj żadne nie popłacają, a w ich liczbie i kominy, których fryzyjscy koloniści do dziś dnia nie mają i mieć nie chcą, utrzymując tak, jak mieszkańcy Drentu, że dym wybornie przesusza ziarno, nadaje lepszy smak tatarce i najwyśmieniciej konserwuje szynki i słoniny. Przed kilku jeszcze laty jedynym budynkiem nowoczesnym była szkoła, bardzo porządna, doskonale utrzymywana i pełna uczniów; karczem zaś wcale nie było. Koniec końcem, pomimo przestarzałych nieco wyobrażeń i niemodnych ubiorów, z których sobie sąsiedzi żartować pozwalają, nieodrodne to potomstwo dawnych Fryzów, w którem się małżeństwa nigdy za obrębem wsi rodzinnej nie zawierają, zaleca się czystością obyczajów, pewnem ukształceniem, pewnym dostatkiem, skromnością potrzeb i wielkiem zamiłowaniem pracy, dającej mu środki obfitego tych potrzeb zaspokojenia. Oby wszędzie na świecie ludność wiejska w niegorszym przynajmniej znajdowała się bycie i stanie!

Wszyscy prawie gospodarze w tych wsiach fryzyjskich są właścicielami swych posiadłości, mających pospolicie 15 do 20 hektarów powierzchni, lecz w najosobliwszy sposób odmierzonej, są to bowiem pasy na 20 do 30 metrów szerokie a czasem 5000 metrów długie. Pasy te z jednej strony drogi ciągną się na zachód aż do Zatoki Flewońskiej, (Zuiderzee) i są pastwiskami, z drugiej zaś, bezpośrednio od tyłu mieszkań na wschód, dotykają do torfiastego wrzosowiska, zwanego Staphorster-veld. A że każdy pas taki oddzielony jest od sąsiednich rowem, wysadzanym wierzbami, gdzie się kaczki gnieżdżą, a prócz tego ma własną drogę do przejazdu i zwózki, ztąd wynika, że blisko czwarta część ziemi zostaje nieprodukcyjną. Najbliżej leży pole orne, dalej łąki, a za niemi nieużytki, które trochę opału dostarczają. Żyto po życie, czasem przez lat trzy z rzędu, potem ziemniaki, hreczka i owies, taka jest pospolita kolej uprawy. Nie wiele w niej do pochwalenia, ale zbiory pomimo tego ciągle obfite, gdyż przy dostatku łąk i pastwisk dużo można chować inwentarza; jakoż bywa zwykle dziesięć do dwunastu krów dojnych, tyleż młodzieży, jeden koń i kilkanaście świń.

Narzędzia rolnicze nie zalecają się doskonałością, choć w tym razie rzecz to jest mniejszej wagi, gdyż ziemia uprawia się tutaj rydlem. W Staphorst liczy się trzysta chat, w jednej linji przy drodze ustawionych. Wieś Rouven ma 6000 hektarów ziemi, podzielonych na 900 cząstek. Szczególny i nigdzie pewno nie praktykowany tych cząstek rozmiar tłomaczy się niejako sposobem powstawania tych osad fryzyjskich. Każdy się sadowił przy drodze i zaczynał wyzyskiwać ziemię w dwóch kierunkach, t. j. od tyłu domu i od przodu po drugiej stronie drogi; tak więc wyciągały się coraz gospodarcze działy z postępem rydla na bagnach ku zachodowi i na wrzosowiskach ku wschodowi. Zanim poprowadzono teraźniejszą nową drogę bitą ku Fryzji, w okolicy tej prawie nie było można jeździć, i w epoce wojen w XVI wieku wojska hiszpańskie kilkakrotnie tu grzęzły. Zabezpieczony i pomyślny stan tych gmin odosobnionych, pomimo lichej gleby i niedogodniejszego rozkładu posiadłości, jest wymownym dowodem skuteczności uporczywej pracy, która, mając własność za podstawę, przemienia istne bagniska w produkcyjną okolicę i siedlisko ludności licznej i religijnie przechowującej w tym zmiennym wieku dawne zwyczaje fryzyjskich swych przodków i ich surową religją, której niegdyś przeciwko Rzymowi i Filipowi II bronili.

Towarzystwa Rolnicze.

Zdanie sprawy z posiedzenia Towarzystwa Rolniczego powiatu Kościańskiego.

Działo się w Kościanie dnia 7 grudnia 1866 r.

Na dzisiajsze posiedzenie Towarzystwa Rolniczego powiatowego zebrali się licznie członkowie. Prezydujący, pan Kazimirz Chłapowski z Kopaszewa, zagaja posiedzenie, prosząc sekretarza, pana Plucińskiego z Konojadu, aby, stosownie do porządku dziennego, odczytał protokóły z dwóch ostatnich posiedzeń. Po odczytaniu tokowych, gdy nikt przeciw ich osnowie głosu nie zabiera, zakomunikował Prezydujący list Sekretarza generalnego Towarzystwa Gostyńskiego, dotyczący poleceń Zarządu, które wykonane zostały.

Przeprowadzono podział członków Towarzystwa na wydziały: ogólny, rolny i chowu inwentarza, w myśl rozporządzeń Zarządu Centralnego.

Przeczytano statuta Towarzystwa Wspólnej Pomocy w przypadkach wynikłych przez powódź, wichry i ogień. poczem Prezydujący przedstawia donośność towarzystwa takowego i prosi o udział.

Następnie odczytał pan W. Zakrzewski rozprawę: „Czyby nie było korzystnie dla polepszenia rasy owiec naszych założyć owczarnią zarodową negretów na akcje, event. w jakiby sposób to urządzić.“ — W pracy starannie opracowanej, która uzyskała powszechne zajęcie, przechodzi pan Zakrzewski trudności podobnego przedsięwzięcia i znajduje je celowi nie odpowiednie. Pan Stanisław Chłapowski, zgadzając się z zapatrywaniem się pana Zakrzewskiego, przedstawił niefortunne powodzenie już dawniej na akcje założonej owczarni zarodowej w Kromolicach i tragiczny jej upadek. Pan Zakrzewski oddaje na prośbę zebranych członków rozprawę swoją do akt Sekretarza, który jej ogłoszeniem zająć się obiecuje.

Z koleji następuje rozprawa pana Kazimirza Chłapowskiego „O seradelli.“ Według pana Chłapowskiego seradella na lekkiej ziemi udaje się łatwo, nie wymaga kosztów a daje równą ilość paszy, jak czerwona koniczyna. Na zapytanie pana Stefana Chłapowskiego, czy seradella może zastąpić koniczynę czerwoną, oświadcza pan Kazimirz Chłapowski, że zadaniem jej nie jest tyle zastąpić koniczynę, jak obok koniczyny dać wielką ilość paszy w jesieni, kiedy o paszę zieloną już trudno.

Z porządku dziennego następuje sprawozdanie z rezultatów prób, na polu przeznaczonem z polecenia Towarzystwa na ten cel w Kopaszewie wykonanych.

Pan Kazimirz Chłapowski przedstawia:

a) Nasienie stokłosy Schradera (Bromus Schraderi).

Daje dwa pokosy nasienia. Wysiano 15 funt. na morgę. Morga wydała w r. 1865 z pierwszego cięcia 5 centn. nasienia, z drugiego 3 centn.

Tensam kawałek ziemi wydał w r. 1866 z pierwszego cięcia 7 centn. nasienia; drugie cięcie zostało na zielono sprzątnięte i krowami spasione, które chętnie trawę tę jedzą. Wymaga dobrej i wilgotnej roli. Na lekkiej ziemi zasiana dała dosyć nasienia, ale nie wyrosła. Wegetacja jej nie ustaje w późnej jesieni, a nawet zimą, gdy mrozu nie ma, dla tego też sądzi pan Chłapowski, że mocniejszej zimy, jak zima z roku 1865 na 1866, nie wytrzyma, co ją dużo mniej użyteczną u nas, niż we Francji czyni.

b) Kilka exemplarzy francuzkiej kapusty (chou à moëlle), której nasienie przywiózł z Wandei, gdzie pola całe jej sadzą, zimą pasą, jak u nas kukurudzą. Wyrasta na 4 stopy, ma liście silne, a zwłaszcza grubą bardzo i mięsistą łodygę. Sadzi się jak kapusta zwyczajna i daje wielką ilość paszy dla krów dojnych i opasów.

Przy tych okazach wszczęła się żwawa dyskusja. Pan Zakrzewski poleca sianie bromusu, utrzymując, że na stosownie wilgotnej ziemi dobrze się udaje i służy jako dobre pastwisko, wciąż się odmładzając.

c) Dalej pan K. Chłapowski zdaje sprawę z dwóch prób sadzenia ziemniaków:

Morga ziemniaków, zasadzonych na przyoranym łubinie, na ziemi lekkiej i najzupełniej wyjałowionej, dała 60 szefli, coby za sposobem tym sadzenia przemawiało. Druga próba, odbyta sposobem poleconym przez hr. Pinto, nie dała zadawalniających rezultatów, ziemniaki bowiem, bez przykrycia ziemią pozostawione, ucierpiały od mrozów, tej wiosny bardzo późnych.

Pan Zakrzewski polecał tę metodę, mówiąc, że przy równych warunkach miał z ziemniaków na wierzch sadzonych o $^1/_5$ zbiór obfitszy.

Pan Stanisław Chłapowski uważa, że można tak sadzone ziemniaki bardzo łatwo wyzbierać i ukraść.

Na przyszły rok obiecuje pan Kazimirz Chłapowski nową zupełnie roślinę przedstawić, której okazu ze sobą tym razem nie przywiózł. Jest nią Sorghum alpense, na które tego roku dopiero we Francji zwrócono uwagę, u nas zaś od lat sześciu jako roślinę pastewną hoduje uczony nasz naturalista, pan Sypniewski w Piotrowie. Próby te bardzo pomyślny obiecują skutek.

Następnie okazuje pan Zakrzewski tabelę pognoju sztucznego, którą za praktyczną uznano i proszono pana Zakrzewskiego o adres, aby ją więcej rozpowszechnić.

W myśl uchwały walnego zgromadzenia w Gostyniu proponuje Prezydujący członkom Towarzystwa zakłady o większą produkcją czyli o przedstawienie najpiękniejszych produktów w r. przyszłym.

Pan Stefan Chłapowski proponuje zakład o większą z morgi produkcją ćwikły, który pan Zakrzewski przyjmuje.

Co do większego zbioru ziemniaków, idą o lepszą panowie: hr. Plater, pan Raszewski i pan Węclewski.

Prezydujący przedkłada exemplarz Gazety Przemysłowej, wychodzącej w Krakowie, poleca ją i zbiera prenumeratę.

Zgłaszający się ks. proboszcz Wiśniewski z Czacza i Alexander Warnka z Kopaszewa jako członkowie przyjęci zostali.

W końcu prosi Prezydujący o liczny udział w mającem się odbyć walnem zebraniu w Poznaniu i dziękuje członkom Towarzystwa i przytomnemu panu Radzcy Ziemiańskiemu za uczestnictwo w posiedzeniu.

Na wniosek p. hr. Platera prosi Towarzystwo pana Radzcę Ziemiańskiego, ażeby przyjął udział w Towarzystwie jako członek honorowy, co pan Radzca przyjmuje.

Pluciński,
Sekretarz Towarzystwa.

Rozmaitości.

Płodozmian ogrodowy.

Ogrodnik Meyer w Ulmie zwraca uwagę na potrzebę zaprowadzenia w ogrodnictwie płodozmianu na wzór płodozmianów zbożowych. Stosownie do tego dzieli on jarzyny ogrodowe według ich własności wyczerpywania ziemi na trzy klasy:

1) Do mocno wyczerpujących liczą się wszystkie rośliny łodygowe, jako to: kapusty, sałaty, endywje, buraki, szpinak, rabarber, karczochy; tudzież rośliny korzenne, jako to: anyż, korjander, koper, i owoc wydające, jako to: ogórki, melony, pomidory.

2) Miernie wyczerpujące, korzeniowe i bulwiaste rośliny są: chrzan, cykorja, pasternak, pietruszka, marchew, rzadkiew, cebula i inne cebulowate rośliny; nakoniec ziemniaki.

3) Mało wyczerpujące rośliny strączkowate, jako to: tyczkowy, polny i cukrowy groch, fasole, boby, soczewica, szparagi.

Przy takim płodozmianie nawozi się tylko rocznie trzecia część ogrodu jarzynnego; rośliny co rok zmieniają swoje miejsca i dopiero po 3 latach znowu na nie wracają. W ten sposób dzielimy ogród na 3 kawałki: 1) Tłusty (świeżo nawieziony) na silnie wyczerpujące rośliny. 2) Miernie tłusty (przeszłego roku nawożony) na mniej wymagające. 3) Chudy (przed 2 laty nawożony) na mało wyciągające rośliny.

Tym sposobem oszczędzamy corocznie $^2/_3$ części nawozu, a rośliny udają się bardzo dobrze, bo na ziemi sobie odpowiedniej.

Lekarstwo na rozdęcie bydła.

W pewnych dobrach w Czechach dozwalano w drugim roku po zbiorze koniczyny spasać ją owcami, a w jesieni pierwszego roku zaraz krowami; a ponieważ koniczyna zawsze była bujną, straty z powodu rozdęcia pomimo używania różnych sposobów i trokaru były bardzo liczne. W sąsiednich dobrach, gdzie te same wypadki się zdarzały, użyto z bardzo dobrym skutkiem do siewu mieszaniny z kminkiem, który od rozdęcia chroni. W tym celu sieje się go 5 do 6 funtów na morgę wraz z koniczyną, z którą razem dojrzewa, daje dobrą paszę. Od tego czasu nie wydarzył się tam żaden przypadek rozdęcia.

Pranie bielizny mąką.

Zamiast mydła i ługu używają teraz do prania mąki. Do pół garnca wody bierze się dobrą łyżkę stołową mąki według tego, czy chcemy mieć ług słabszy lub mocniejszy, co każda gospodyni z doświadczenia pozna, albo do 32 garncy wody ćwierć funta mąki, do 62 garncy pół funta mąki i t. d. Ta ilość mąki sypie się do zimnej lub letniej wody, miesza dobrze, kładzie się w tę wodę nieczystą bieliznę jednę sztukę na drugą, pozwala się jej odmięknąć im dłużej, tem lepiej. Poczem zagrzewa się to wszystko aż do gorącości, ale nie aż do zagotowania, trze w rękach lub szczotką pilnie bieliznę, a nareszcie płócze w zwyczajnej czystej wodzie. Ma to być najtańszy i najlepszy sposób prania bielizny, zalecany dla gospodyń, szczególniej do prania delikatnej bielizny i flaneli, w mące bowiem znajduje się mydło (?) w połączeniu z ługiem, dla tego mąka bardzo może zastępować jedno i drugie. Używając mąki, raz tylko pilnie pierze się bieliznę, gdy tymczasem podług dawnej metody bierze się ją raz drugi i trzeci do ręki; dla tego, piorąc pierwszym sposobem, można ją lepiej oszczędzać. Dodać także należy, że mąka nie zawiera w sobie zupełnie chlorku wapna, szkodzącego bieliźnie.

Środek przeciw uszkodzeniu szczepów owocowych przez zające.

Bierze się krwi lub żółci wołowej, dodaje się 1 lub 2 łóty kamfory i odwaru tytuniu za 1 $^1/_2$ sgr. do 2 $^1/_2$ sgr., miesza się razem i smaruje się tą maścią drzewka do wysokości, do jakiej zając dosięgnąć może.

Redaktor i nakładca Prof. Dr. J. Szafarkiewicz; czcionkami Ludwika Merzbacha w Poznaniu.